

Kazimierz Kozłowski

Dlaczego zostałem Kaszëbą

Acta Cassubiana 15, 169-177

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Kazimierz Kozłowski
Szczecin

Dlaczego zostałem Kaszëbą

Na spotkaniu z przyjaciółmi, które odbyło się w Zamku Książąt Pomorskich w listopadzie 2012 r. z okazji moich 70. urodzin – gdy zostałem wyróżniony dyplomem Honorowego Członka Instytutu Kaszubskiego – przedstawiłem swoją drogę życiową. Powiedziałem wówczas m.in., iż najlepszym polskim filmem jest dzieło Jerzego Antczaka „Noce i dnie”. Zrobił on na mnie większe wrażenie niż książka Marii Dąbrowskiej. Sentyment do tego filmu pochodzi stąd, iż moi dziadkowie tak po linii matki (Dionizy Sawicz), jak i ojca (Dominik Kozłowski) byli przed pierwszą wojną światową i w jej trakcie dzierzawcami kilkusethektarowych folwarków na Wileńszczyźnie. Z opowiadań babci Wandy i Józefy wiele dowiedziałem się o ich przeżyciach, doświadczeniach, refleksjach. Dziadek Dionizy zmarł krótko po pierwszej wojnie światowej (miał ok. 40 lat), osierocił troje dzieci. Babcia Wanda sprzedała dość duży majątek ruchomy (kilkadziesiąt krów, koni, owiec) za polskie marki, które wkrótce straciły wszelką wartość. Babci i jej dzieciom – mojej przyszłej mamie Mariannie, cioci Zofii i wujkowi Zygmuntowi – niełatwo było funkcjonować w nowej rzeczywistości w niepodległej ojczyźnie. Dziadek Dominik żył dłużej, zmarł bowiem w wieku 50 lat. Babcia Józefa mieszkała razem z rodziną, którą założył syn Józef – mój ojciec.

We wrześniu 1939 r. mój ojciec jako soltys w gminie Jazno powiat Dzisna miał być sądzony przez uformowany po 17 września sąd ludowy. Gdy ojciec dowiedział się, iż „sąd” wydał i wykonał wyrok śmierci na drogomistrzu i gajowym (także „funkcjonariuszach sanacyjnych”), uciekł na Litwę, gdzie był zakrytym u znajomego księdza (mój ojciec był arcykatolikiem). Moja mama z babcią Wandą i dwójką mojego starszego rodzeństwa musiała borykać się z powszechnie znanymi uwarunkowaniami radzieckiej okupacji okresu 1939–1941. Było to tym bardziej trudne, iż jej siostra, a moja ciocia Zofia, została aresztowana i wywieziona do Tobolska (z Syberii wróciła w 1945 r.). Gdy w 1941 r. wkroczyli Niemcy, ojciec wrócił do naszych Podlipek i w warunkach okupacji niemieckiej nadal pro-

wadził 15-hektarowe gospodarstwo. W końcu 1943 r. udało mu się uciec z łapanki mężczyzn, których Niemcy gromadzili celem budowy fortyfikacji w obliczu nacierającej Armii Czerwonej. Mama z nami (bo 13 października 1942 r. ja przyszedłem na świat) znowu wspólnie z babcią musiała sprostać wymogom tragicznego czasu. Ojciec wrócił w 1944 r. i niezwłocznie podjął starania, aby – w obliczu sowietyzacji – wyjechać z ojcowizny do Polski w nowych granicach. Tak stało się w 1946 r. Mieliliśmy w czasie podróży z naszych stron rodzinnych na ziemię zachodnie pół bydłowego wagonu. Obok rodziny Kozłowskich i Sawiczów z tego transportu korzystał koń, krowa i pies (który, niestety, w Pile zaginął). Wylądowaliśmy w Siennie gmina Ośno, powiat Rzepin, niedaleko Odry. Otrzymaliśmy z PUR-u pół poniemieckiego domu z częścią stodoły i chlewu. Przydzielono też ojcu 10 ha ziemi. Pamiętam plagę myszy i jak przez mgłę wszelkie niedostatki życia i cwaniaków, którzy przyjeżdżali z Wielkopolski, aby za bezcen nabywać różne poniemieckie dobra (można tu mówić o grabieży ze strony rodaków, gdyż żołnierzy radzieckich na naszym terenie nie było). W 1949 r. rodzina namówiła moich rodziców, aby osiedlili się w Wielkopolsce, najpierw w Nowej Wsi, a później już na kilkadziesiąt lat w Chrustowie gmina Ujście, powiat Chodzież. Rodzina nasza składała się z rodziców, babci Józefy i sześciorga dzieci (rodzina Sawiczów, tzn. babcia Wanda, ciocia Zosia oraz moi „podwójni” kuzyni, Kazimierz, Regina i Danuta, pozostała w Siennie). W Chrustowie przez ulicę chodziłem do szkoły do pierwszych czterech klas. Pan kierownik Walenty Karolczak uczył nas wszystkiego. Od piątej do siódmej klasy kontynuowałem naukę w szkole podstawowej w Ujściu, chodząc lub jeżdżąc rowerem 5 km. Miałem niezłe wyniki z przedmiotów, które można uznać za humanistyczne, a kiepskie, jeżeli chodzi o nauki ścisłe (w których to mój brat Stanisław był prymusem). Mimo biedy, ciężkiej pracy (wakacje to pojęcie tylko symboliczne) mogę z perspektywy skonstatować, że życie miałem do 1959 r. zgoła szczęśliwe. Tragedia nastąpiła właśnie w styczniu 1959 r., gdy w wieku 44 lat zmarła mama, człowiek ze wszech miar wspaniały. Miałem wówczas 16 lat, moja najmłodsza siostra Ania – 3, następna Marysia – 9, Jadzia – 12. Pomagała nam ciocia Zosia, jednak dotychczasowy świat uległ pełnej dekompozycji. Nic już nie było takie same. Zawałił się system wartości i logiki bytu. Tu trzeba przerwać chronologiczną narrację...

Gdy w 2003 r. w 60. urodziny odwiedziłem już jako dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie i profesor Uniwersytetu Szczecińskiego Podlipki i oglądałem fundamenty domu, stodoły i chlewika oraz studnię, które w latach trzydziestych XX w. zostały zbudowane przez dziadka i ojca, zastanawiałem się, czy Wileńszczyzna jest nadal moją ojcowizną w duchowym odniesieniu. W czasie wizyty w Podlipkach poznałem pana Sergiusza, który na ziemi zakupionej swego czasu przez mego dziadka prowadził wykopki ziemniaków. Gdy przedstawiłem mu się po rosyjsku, kim jestem i dlaczego znalazłem się w tym miejscu, nie uściśnął wyciągniętej do niego dłoni, lecz zapytał towarzyszącego mi obywatela Białorusi

(polskiego nauczyciela z Grodna), czy nie jestem rewizjonistą. Gdy tamten oświadczył, iż uznaję granicę na Bugu i rewizjonistą nie jestem, pan Sergiusz uściślił mnie serdecznie i zaprosił do domu. Z gościny nie skorzystałem, bo miałem inne plany. Przeprosiłem mego opiekuna i samotnie przez kilkanaście godzin włóczyłem się po Podlipkach oraz Jaźnie (szukałem tam bezskutecznie m.in. grobu mego dziadka Dominika). Wówczas to utwierdziłem się w przekonaniu, że generalnie rzecz biorąc, to jestem Pomorzanie, a nie Wilniukiem (z organizacjami kresowian utrzymuję przyjazne kontakty). Uznałem, że podobne odczucia mogą towarzyszyć Niemcom, byłym mieszkańcom Szczecina czy innych pomorskich miejscowości, którzy po latach odwiedzają obecnie polski region.

Uważam, że warto odpowiedzieć na pytanie, dlaczego znalazłem się na Pomorzu Zachodnim. Moje związki z tym regionem sięgają 1963 r., gdy po ukończeniu Studium Nauczycielskiego w Poznaniu otrzymałem od władz powiatowych ofertę pracy w charakterze nauczyciela w Gryficach. Tam, ucząc historii, a następnie – już po ukończeniu zaocznie studiów w gdańskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej – pracując w administracji państwowej odpowiedzialnej za sprawy oświaty i kultury, poznawałem ludzi, którzy po drugiej wojnie światowej wykorzeni ze swej ojcowizny z różnych powodów przybyli na ziemię pozyskane przez Polskę w 1945 r. Tu założyli rodziny, znaleźli pracę, dom, miejsce w przestrzeni społecznej. To nowe zakorzenienie – a poznawałem ten proces zarówno poprzez analizę bardzo rozległej bazy źródłowej, jak i kontakty z szeroko rozumianym społeczeństwem – następowało w złożonych okolicznościach funkcjonowania Polski Ludowej. Szczególnie do 1970 r. dawał o sobie wyraźnie znać, przejawiający się w różnej formie, rewizjonizm niemiecki (oczywiście nie dotyczył on wszystkich Niemców). W tych okolicznościach proces polonizacji w duchowym aspekcie, a w pewnym sensie i edukacyjnym, powinien być kontynuowany, gdyż potrzebny jest także dla dzieci i wnuków pierwszych polskich osadników. Jest to szczególnie istotne w dobie procesów związanych z europeizacją, gdy III RP znalazła się w strukturach Unii Europejskiej, gdy rozwija się – co bardzo ważne – proces pojednania polsko-niemieckiego i konstruktywna współpraca transgraniczna.

Wracając do lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, pamiętam, iż starałem się zarówno jako nauczyciel szkoły podstawowej, średniej, urzędnik państwowy, archiwista oraz nauczyciel akademicki przywoływać słowiańską i polską tradycję w szerokim tego słowa znaczeniu i coraz bardziej utożsamiałem się z tą ziemią, która niegdyś była słowiańską (w sensie politycznym wchodziła krótko w skład polskich struktur państwowych), potem pomorsko-niemiecką, a później pruską. Starałem się te słowiańskie i polskie akcenty wydobywać, pokazując, na czym polegał wysiłek polonizacyjny realizowany przez polskie elity po drugiej wojnie światowej. Chodzi tu o inteligencję związaną z władzami Polski Ludowej, jak i Kościołem rzymskokatolickim, gdyż w sprawie polonizacji i zagospodarowania

ziem nad Odrą i Bałtykiem panowało w tym kręgu wyraźne współdziałanie. W tym kontekście doszedłem do wniosku, iż bardzo twórczą formułą współczesnego patriotyzmu lokalnego (ale mającego znaczenie szersze) jest nurt kaszubski, szczególnie głęboko i sugestywnie artykułowany przez Instytut Kaszubski w Gdańsku (w odniesieniu kulturowym, politycznym, społecznym, mentalnym). Oczywiście doceniam też aktywność i dorobek Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

Ostatnie dwudziestolecie dostarczyło wiele argumentów, iż warto służyć wspomnianym wartościom w obliczu dla mnie niezrozumiałych zachowań części nowych elit, które w warunkach III RP przyjęły postawę gloryfikującą dorobek regionu głównie w okresie pomorsko-pruskim (po 1720 r.), równocześnie pogardliwie traktując wysiłek społeczeństwa w pierwszych dziesięcioleciach polskiej tu obecności. Uważam, że ma miejsce proces adopcji historii pomorsko-pruskiej regionu przez znaczną część współczesnych mieszkańców Pomorza Zachodniego (a sędzę, że uwaga ta odnosi się do całości ziem pozyskanych przez Polskę w 1945 r.). W tym kontekście chciałbym przywołać argumenty, jakie przedstawiłem, recenzując dla „Przeglądu Zachodniopomorskiego” amatorską trylogię dotyczącą dziejów Złocieńca¹.

Do tej pory nie recenzowałem tego typu opracowań związanych z „historią” poszczególnych miejscowości w regionie zachodniopomorskim².

W recenzji napisałem m.in., że w warunkach państwa demokratycznego każdy może pisać i mówić wszystko, co nie jest zabronione prawem. Prawo zaś nie zabrania prezentowania autorskich pomysłów, m.in. różnych pasjonatów, miłośników historii czy ludzi uważających się za publicystów lub „twórców licznych publikacji dotyczących historii regionu”. Można uznać, że klucz do poważnego lub nie traktowania informacji o dziejach miast, gmin, „ziem” czy poszczególnych instytucji życia społecznego, znajduje się w ręku zleceńodawców finansujących poszczególne opracowania, np. starostów, burmistrzów, wójtów, prezesów, dyrektorów etc. Mogą oni (a uważam, że powinni) korzystać z usług profesjonalistów przynajmniej w zakresie pozyskania recenzji. Istnieje w Polsce cała sieć uniwersytetów czy innych profesjonalnych instytutów badawczych, które mogą wskazać specjalistów w danej dziedzinie. Piszę poniżej o tzw. historii Złocieńca pióra J. Leszczelowskiego z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, iż każdy z trzech tomów wspomnianej wyżej pracy (razem ponad 1000 stron) opatrzony

¹ *O potrzebie recenzowania monografii regionalnych. Refleksja na przykładzie trylogii Jarosława Leszczelowskiego o losach Złocieńca.*

² J. Leszczelowski, *Złocieniec – przygoda z historią*, część pierwsza, (Warszawa 2007, wydawca Agencja Wydawniczo-Usługowa „ALJAR” Alicja Leszczelowska, 336 ss.), *Ostatnie stulecie Falkenburga, Złocieniec – przygoda z historią*, część druga (Warszawa 2007, wydawca jw., 306 ss.), *Złocieniec nie całkiem odzyskany*, część trzecia (Warszawa 2009, wydawca jw., 358 ss.).

został ciepłym wstępem burmistrza Złocieńca, czyli legalnej, demokratycznie wybranej władzy samorządowej (burmistrz ma określone prawa i obowiązki). Po drugie, dlatego, iż mój student III roku politologii Uniwersytetu Szczecińskiego (człowiek pracowity i sympatyczny) powołał się na to opracowanie, uznając za własne następujące stwierdzenie autora omawianej trylogii: „Przez kilkadziesiąt powojennych lat próbowano uzasadniać prawo do polskiej obecności na tych terenach poprzez nawiązywanie do wczesnośredniowiecznych Pomorzán. **Opis historii każdego miasta zaczynał się od obowiązkowej formułki mówiącej o słowiańskich początkach** [podkr. K.K.]. Niekiedy była to prawda, częściej nie. Niestety, wystarczy przeczytać **niektóre dzisiejsze tablice informacyjne dla turystów** [podkr. K.K.], żeby stwierdzić, że ta **falszywa nuta** [podkr. K.K.] nie zamilkła do końca. Przybycie naszych ojców na te ziemie było wynikiem wojny, która nie została rozpięta przez Polaków. Pomimo wiernego trwania w obozie antyhitlerowskim trudno zaliczyć Polskę do zwycięzców ostatniej wojny. Pomorze było rekompensatą za tereny, które Polsce odebrano. Właśnie tutaj wielu Polaków tworzyło swój nowy świat po **wymuszonym opuszczeniu** [podkr. K.K.] ziem ojców. **Nie potrzebujemy** [podkr. K.K.] szukać mało przekonujących związków między wczesnośredniowiecznymi Słowianami a dzisiejszą ludnością polską na Pomorzu. Nasze prawo przebywania tutaj wynika z innych ważniejszych względów. Zaryzykuję twierdzenie, które może zabrzmieć w niektórych uszach jak hezja: **otóż jestem przekonany, że kulturowo znacznie bliżej nam do wypędzonych w 1945 r. Niemców niż do dwunastowiecznych Pomorzán**” [podkr. K.K.] (t. I, s. 22).

Z tymi kilkoma zdaniem J. Leszczelowskiego student III roku politologii się identyfikował, lecz nie tylko on uznał je za swoje. Burmistrz Złocieńca, polecając czytelnikom i turystom trylogię Leszczelowskiego, opowiada się pośrednio również za takim tokiem myślenia. Rada Miasta Złocieńca, przyznając w 2007 r. Panu Jarosławowi Leszczelowskiemu tytuł honorowego obywatela miasta, w jakimś sensie pewnie także solidaryzuje się z jego poglądami. Z informacji zamieszczonej o Autorze nie wynika, iż ma ukończone studia historyczne. J. Leszczelowski pisze o sobie, iż „ukończył studia informatyczne na Uniwersytecie Bundeswehry w Monachium” (oczywiście nic złego z tej informacji nie musi wynikać).

Przywołując fragment książki J. Leszczelowskiego, podkreśliłem niektóre stwierdzenia, gdyż z nimi trudno mi się zgodzić. Szyderczo zgola odnosi się historyk-amator do wydanej w okresie Polski Ludowej literatury. Tu pragnę wyjaśnić, iż w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych powstało wiele monografii powiatów i miast Pomorza Zachodniego, które ukazały się głównie staraniem nieistniejącego już Instytutu Zachodniopomorskiego, a redaktorami naukowymi tych opracowań byli powszechnie szanowani historycy. Nie do przyjęcia jest więc lekceważące stwierdzenie, iż „opis historii każdego miasta zaczynał się od obowiązkowej **formułki** mówiącej o słowiańskich początkach”. Kwestionuję także

uogólnienie, iż „Dzisiejsze tablice informacyjne dla turystów (...) to **falszywa nuta**”. Tu nie może mieć miejsca uogólnienie, trzeba podać konkretne przykłady. Wypowiedzi współczesnych przewodników turystycznych bardzo rzadko odnoszą się do słowiańskiej i polskiej tradycji na Pomorzu Zachodnim, są one raczej formowane w duchu i estetyce zaprezentowanej przez autora *Ostatniego stulecia Falkenburga* i tam raczej można szukać nie tyle falszywej nuty, ile fascynacji okresem pruskim na Pomorzu Zachodnim od drugiej połowy XIX w. po 1945 rok. Nieprawdą jest, iż wszyscy osadnicy polscy, którzy przybyli na Pomorze Zachodnie po drugiej wojnie światowej, znaleźli się tutaj w wymuszonych okolicznościach. O ile chodzi o wysiedleńców z terenów wschodnich, osiedliło się ich w omawianym regionie tylko niespełna 25 proc. Nie powinno się ich nazywać repatriantami, choć przez dziesiątki lat taka terminologia obowiązywała. Przesiedleńcy z Polski centralnej (2/3 wszystkich osadników) przybyli na Pomorze Zachodnie głównie w celu poprawienia swoich warunków życia, zachęceni do tego zarówno przez władzę, jak i Kościół katolicki. Niewątpliwie przymusowo zostali tu osiedleni w 1947 r. Ukraińcy i Łemkowie z akcji Wisła (blisko 50 tys.). Nie powinien Pan Leszczelowski zabierać głos w imieniu wszystkich mieszkańców regionu czy Złocieńca. Nieuprawnione jest więc stwierdzenie „**nie potrzebujemy** szukać mało przekonujących związków...”. Trzeba wyraźnie napisać, w czym imieniu Autor przemawia. Na pewno nie w moim. Oczywiście kulturowo Autor ma prawo „czuć się bliżej do wypędzonych w 1945 r. Niemców niż do dwunastowiecznych Pomorzan”. Nie wiem, ilu jest zwolenników takiego sposobu myślenia (choć niewątpliwie są w dobie adopcji tradycji pruskiej dla przykładu przez potomków osadników z Kołomyi, Podlipek, Moszny itd.). Pan Leszczelowski nie sprawdził, jaki jest stosunek wysiedlonych przymusowo Niemców z regionu i samego Złocieńca (a także ich potomków) do współczesnych gospodarzy tej ziemi. Chcę tu przywołać – jako wieloletni redaktor „Kroniki Szczecina” – wypowiedź dość popularnego w środowisku także szczecińskich historyków, długoletniego prezesa organizacji ziomkowskich, głównie wysiedlonych ze Szczecina Niemców i ich rodzin, dr. Hansa Günthera Cnotki³, której udzielił redakcji „Kroniki Szczecina” w 2004 r. Na pytanie o jego stosunek do restytucji mienia ponemieckiego na Pomorzu Zachodnim powiedział m.in.: „Według niemieckiego stanowiska nawet po uznaniu granicy w traktacie z 1991 r. nie nastąpiły tu żadne zmiany. To jest nadal nierozwiązany problem w niemiecko-polskich stosunkach. Niemcy są w dalszym ciągu właścicielami swoich byłych posiadłości. Niestety,

³ Dr H.G. Cnotka urodził się w Szczecinie w 1932 r. (jego ojciec osiedlił się w Szczecinie w 1919 r. po „pierwszym rozbiórce Niemiec” – jak stwierdza H.G. Cnotka, przenosząc się z Bydgoszczy). Był redaktorem naczelnym „Stettiner Bürgerbriefe”, od 1991 r. szefem stowarzyszenia „Historischer Arbeitskreis Stettin” oraz wydawcą „Reiseführer Stettin”, przewodnika po Szczecinie.

ząd niemiecki pozostawia ten problem samemu sobie i ma nadzieję, że rozwiąże się sam”. Ten nieuznający powojennych realiów, wykształcony i opiniotwórczy w swoim środowisku były mieszkaniec Szczecina, zaprezentował też swoje oczekiwania w stosunku do współczesnych mieszkańców regionu: „Chcę powiedzieć, że jest moim marzeniem, aby Niemcy osiedlili się na Pomorzu, i to nie tylko ci, co tutaj kiedyś zamieszkiwali. Ich obecność tutaj wzbogaciłaby Pomorze gospodarczo i kulturowo. Polska ludność zamieszkująca Pomorze z całą pewnością zyskałaby na tym procesie osadnictwa. Obie nacje nauczyłyby się z sobą żyć i korzyści wystąpiłyby po obu stronach. Z radością powitalbym np. umieszczenie obok polskich nazw miejscowości i ulic ich dawnych nazw niemieckich. Miałoby to istotny walor informacyjny”⁴. Czy tylko informacyjny? Czy tylko dr Cnotka takie tezy prezentował?

Mam świadomość, iż za „odkrywcze” twierdzenia dotyczące genezy pozyskania przez Polskę ziem zachodnich (które zalicza „odważnie” do „herezji”) J. Leszczelowskiemu nie grożą żadne przykrości. Na ten temat wypowiedało się w podobnym duchu wiele osób, w tym także w 1980 r. niewątpliwie człowiek wybitny, opozycyjny działacz o socjaldemokratycznym rodowodzie, Jan Józef Lipski, w pracy *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy (uwagi o megalomanii i ksenofobii Polaków)*. J.J. Lipski pisał m.in.: „Prawie każdy Polak (nawet wykształcony) wierzy dziś, że wróciliśmy po drugiej wojnie światowej na ziemię zagrabioną nam przez Niemców. Dotyczyć to może Gdańska i Warmii (...) reszta Prus Wschodnich nigdy polska nie była, a Niemcy zdobyli te ziemie nie na Polakach, a na Prusach (...) Zachodnie Pomorze – etnicznie też nie polskie, choć słowiańskie – rzuciło parokrotnie z uporem swą zależność od Polski i wytworzyło własną organizację państwową zniszczoną dopiero w XVII wieku przez Szwedów. Prusacy zabrali te ziemie zamieszkałe nie przez Polaków Szwedom, a nie Polsce”⁵. Lipski stwierdza też, że my z kolei nie chcemy dziś pamiętać, że są to ziemie, na których parę setek lat kwitła kultura niemiecka⁶. Są więc i w poważnej literaturze stwierdzenia tego typu, z którymi nie wszyscy profesjonalni historycy i politolodzy oraz autorytety moralne się zgadzają. Jeżeli już jesteśmy przy autorytetach moralnych (oczywiście każdy może wybierać według własnego uznania), warto przywołać stwierdzenie prymasa Stefana Wyszyńskiego, który w szczecińskiej katedrze w czasie ingresu pierwszego biskupa diecezji szczecińsko-kamieńskiej w październiku 1972 r. taką podał przyczynę pozyskania przez Polskę ziem nad Odrą i Bałtykiem, w tym Szczecina: „Gdy przed wielu, wielu laty na prośbę prasy niemieckiej napisałem artykuł, jak się zapatruję na problem organizacji kościelnej

⁴ Wywiad W. Mijała z H.G. Cnotką, „Kronika Szczecina 2003”, Szczecin 2004, s. 67.

⁵ J.J. Lipski, *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy (uwagi o megalomanii i ksenofobii Polaków)*, [w:] *Tunika Nesosa. Szkice o literaturze i o nacjonalizmie*, Warszawa 1992, s. 144.

⁶ Tamże, s. 146.

na Ziemiach Odzyskanych, rzecz ująłem tak: »Powrót Polski na ziemię piastowskie, na ziemię śląskie czy pomorskie, jest wymownym ostrzeżeniem Boga, który kieruje narodami i jest ojcem ludów i narodów, ostrzeżeniem dla narodów krwawych«. I to sformułowanie obiegło cały świat i bardzo nie podobало się tym elementom rewizjonistycznym, które były zdania, że Polska jest tutaj tymczasowo⁷.

Przytoczę jeszcze późniejszą konstatację abp. Kazimierza Majdańskiego, którego osobowość wpłynęła na kształtowanie psychiki społeczeństwa regionu zarówno w okresie Polski Ludowej, jak i III RP. Oto fragment wypowiedzi biskupa szczecińskiego-kamieńskiego z 1990 r. odnoszący się do sprawy godności człowieka i narodu: „Nie można wyrzec się tego, co tę godność chroni. Chroni zaś tę godność prawda. Być może, że to dlatego właśnie wikłamy się w relacjach z naszym zachodnim sąsiadem, iż zapanowało podstawowe nieporozumienie. Skutki są brane za przyczynę. Przyczyną był dzień 1 września 1939 r. Był ten dzień przyczyną bezmiaru krzywd, jakie spadły przez wszystkie lata wojny na Naród polski, choć także inne narody, zwłaszcza na Naród żydowski. Sąsiedzi zaś nasi mówią najchętniej o roku 1945; o jego klęskach i doniosłych decyzjach politycznych wtedy podjętych”⁸. Oczywiście cytowani duchowni doskonale wiedzieli o politycznych uwarunkowaniach przejścia przez Polskę ziem zachodnich i północnych, czyli o zasadzie rekompensaty. Doceniali jednak polską myśl zachodnią oraz aspekt moralny polonizacji tych ziem.

Jest faktem, że w latach pionierskich wielu twórców kultury, a w pewnym stopniu i historyków, chcąc zamortyzować traumę osiedlających się na poniemieckich terenach rodaków, przywoływało legendy i sentymentalne opowiadania, dziełka literackie o słowiańskich i polskich losach ziem pozyskanych. To miało wówczas sens społeczny i dzisiaj nie trzeba się wstydzić tej aktywności polskich elit nad Odrą i Bałtykiem sprzed ponad pół wieku.

Uważam, że należy kultywować pamięć o znaczeniu polskiej myśli zachodniej, aktywność współczesnego ruchu kaszubskiego, pamiętać o przesłaniu, jakie pozostawili po sobie wybitni uczeni reprezentujący taki tok myślenia. Szczególną rolę w tym zakresie niewątpliwie odgrywa prof. Gerard Labuda, uczony europejskiej klasy, doktor honoris causa m.in. Uniwersytetu Szczecińskiego, według którego geneza przejścia przez Polskę ziem zachodnich i północnych, zwanych przez dziesięciolecia Ziemią Odzyskanymi, jest następująca: „Granica na Odrze i Nysie nie jest tworem dnia wczorajszego lub z przedwczoraj. W stosunkach polsko-niemieckich i polsko-niemieckim sąsiedztwie była ona obecna od początku zetknięcia się obu państw już w X wieku, a przecież strumień przeobrażeń politycznych bezustannie zalewał ją »wodą zapomnienia«, to w polskiej świadomości społecznej tkwiła ona nadal jako granica etniczna, kulturalna i historyczna. Dziwnym

⁷ Tekst homilii kard. S. Wyszyńskiego w zbiorach Kurii diecezji szczecińskiego-kamieńskiej.

⁸ Tamże.

zbiegiem wydarzeń ze stanu uśpienia do życia wezwał ją znowu pakt Hitlera-Stalina z dnia 23 sierpnia 1939 roku, który pomyślany jako akt rozbioru państwa polskiego, obrócił się swoim ostrzem przeciwko jego autorom, wywołał wybuch wojny światowej, w toku której doszło również do wojny na śmierć i życie między hitlerowskimi Niemcami i stalinowskim Związkiem Sowieckim”⁹. Propaguję ten tekst prof. Labudy i wyjaśniam, iż takie przeświadczenie stało się źródłem przeświadczenia, że z kresowiaka stałem się Kaszëbą, który pamiętając o swych rodzinnych korzeniach, stara się tu na Pomorzu pracować na rzecz teraźniejszości i przyszłości, zachowując tożsamość i szanując sąsiadów.

⁹ G. Labuda, *Dzieje granicy polsko-niemieckiej jako zagadnienie badawcze*, [w:] *Problem granic i obszaru odrodzonego państwa polskiego (1918–1990)*, red. A. Czubiński, Poznań 1992, s. 45–46.